

Janina Osewska

Opowieści wybrane

fragment książki *Nina*

Weronika

Weronika wydała na świat jedenaścioro dzieci. Siedmioro przed wybuchem drugiej wojny światowej, a czworo w czasie jej trwania. Dwoje z nich umierało na rękach Tereni. Najpierw trzymiesięczny Rysio, potem dwumiesięczny Fryderyk. Odszedł też dziesięcioletni Jurek, trzyletnia Henia i trzymiesięczny Wacusz. Terenia, najstarsza córka z rodziny, razem z Cześkiem, pierwszym przedwojennym dzieckiem, sprawowali nie tylko rolę opiekunów młodszego rodzeństwa, ale byli też nieodzowni we wszelkich pracach. Kiedy Niemcy zabrali ojca i najstarszego brata Cześka na roboty przymusowe przy kopaniu okopów, została Terenia. Wspierała matkę, często wręcz wyręczała. Brała odpowiedzialność. Dzięki najstarszemu rodzeństwu młodsze dzieci, które przeżyły wojenną zawieruchę, kształciły się w wielkich miastach. Jan został asystentem na politechnice, Danuta felczerem, Janina pielęgniarką, a Franciszek inżynierem. Nina wie o tym od swojej matki Tereni, że nosiła w sobie żal, jak kamień, aż do

śmierci. Nie były jej dane studenckie doświadczenia w oddaleniu od domu.

Weronika była pobożna. Od kiedy Nina pamięta prowadziła ją w środy do tutejszego kościoła na nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej. Dzięki niej poznała wszystkie pieśni maryjne, które gorliwie wyśpiewywała, a potem, już jako uczennica, przepisywała do zeszytu, którego los jest nieznanym. W zaciszu babcinej kuchni kaligrafowała, pieściła każdą linijkę, starannie łączyła ze sobą litery, ozdabiała każdy tekst szlaczkiem z wianuszka kwiatków. Ćwiczyła piękny charakter pisma i cierpliwość. Żadnej nachalności ze strony babci nie było. Wszystko odbywało się bez nacisków, nakazów, wymagań. Po prostu mimochodem. Nina lubiła środy.

Oprócz wspólnoty duchowej babcię i Ninę łączyła praca. Robiły razem „okropne rzeczy”. Po świniobiciu zadaniem dziewczynki było przytrzymywanie jelit, które należało najpierw opróżnić z zawartości, a potem umyć do czysta. W małe paluszki brała śliskie i długie jelito cienkie świni, a babcia kubkiem wlewała do niego wodę, która spływała do podstawionego wiadra i pod nogi. Potem końcówkę jelita się wywijalo i w to zawinięcie wlewała wodę powoli opuszczając jego górną część. Flak sprytnie wywracał się na drugą, wewnętrzną stronę. Tę

czynność powtarzało się kilkakrotnie, aż wiotka rurka była czysta. Trudniej było oczyścić jelito grube, pełne fałd i zakamarków. Następną czynnością, bardziej wymagającą, było wycisowanie jelita nożykiem tak, aby została tylko cieniutka błonka potrzebna do wyrobu kiełbas i kiszki z krwi, kaszy, ziemniaków i cebuli. Trzeba było uważać, by nie zrobić dziury. Unoszący się fetor odchodów i breja pod nogami, w której stało się do zakończenia roboty, były dla malej Niny niezwykłą lekcją anatomii. Do przykrych zapachów należał też ten unoszący się ze sparzonych kurzych piór. Kurę po zarżnięciu wkładało się do wiadra, polewało wrzątkiem i skubało na czyściutko. Potem odbywało się patroszenie. Babcia Weronika sunęła ostrym nożem po brzuchu ptaka, rozchylała i wyciągała serce, żołądek, wątrobę, jelita i płuca. Wszystko. Zostawał kadłubek. Nynie trudno było pogodzić dwa wizerunki babci: „świętej Weroniki” i „Weroniki winnej śmierci”.

Weronika była piękna. Jej wydatne policzki, różowe, jak kronselski dominowały nad wąskimi ustami i pieprzykiem nad nimi po prawej stronie. Często zadumana, ale pogodna i gładka twarz, z zaczesanymi do tyłu włosami zebranyymi w warkocz skręcony w kok, była dla Niny tym, co zapewnia trwałość jakiegokolwiek porządkowi. Jej pierwsza ucieczka

z domu miała finał właśnie u niej. Tak niedaleko, a jednak to nie odległość, a manifestacja Niny miały znaczenie. Babcia przyjęła zbiega bez słów i dała posłanie w swoim dużym pokoju sąsiadującym przez ścianę z największym pokojem rodziców.

Weronika była skryta i zamknięta w sobie. Nie opowiadała, nie narzekała na nikogo i na nic, jakby bała się własnego cienia. Nie przytulała, nie całowała, nie mówiła, że kocha. Dawała innym tyle, ile otrzymała w dzieciństwie od swoich rodziców. A dostała tyle, co kot napłakał. Jej matka, również Weronika, była drugą żoną Bolesława z Żarnowa. Kiedy mała miała trzy lata, matka umarła przy porodzie syna. Bolesław wydziedziczony przez dzieci z pierwszego małżeństwa zmarłej żony z trzydziestu morgów ziemi, majątku wniesionego do wspólnego gospodarstwa, „rozdał po rodzinie” prychówek ze związku z Weroniką i wyjechał do Argentyny. Od tego czasu trzyletnia Weroniczka i jej siostrzyczka Mela były sierotami. Nie zaznały rodzicielskiej miłości i czułości. Skąd miały wiedzieć o skutkach tego braku?

Nina ma po niej pamiątkę. Pismo Święte Nowego Testamentu przetłumaczone z greckiego przez ks. prof. dr Seweryna Kowalskiego. Na drugiej stronie Księgi jest dedykacja: „Drogiej Ninie w dniu jej uroczystej pierwszej Komunii św. Boże miej ją w opiece. Babcia, 13 VI 1965”. Kiedy Nina bierze ją do ręki, otwiera się w miejscu, gdzie kiedyś, z jakiegoś powodu, włożyła polne kwiaty i liście: „Z królowaniem Bożym ma się rzecz podobnie jak z człowiekiem, który rzuci ziarno w ziemię: Śpi nocą, a za dnia czuwa, a tymczasem ziarno kiełkuje i wzrasta; on zaś nie wie nawet, jak to się

dzieje. Ziemia wydaje owoc sama z siebie: najpierw lodygę, potem kłos, wreszcie kłos pełen ziarna. A gdy owoc na to zezwala, natychmiast zapuszcza sierp, bo nadeszły żniwa”¹.

Stefania

Za babcią Stefanią Nina poszłaby do piekła.

Spędziła z nią pierwsze lata dzieciństwa i kolejne wakacje od nauki szkolnej. Zawdzięcza jej poczucie wolności, życie zgodne z porami dnia i miłość do przyrody. Szczęśliwość.

Kiedy świt wołał o obrządek dolaływały ją z kuchni zapachy. Śniadania były wczesne, obfite i zdrowe. Wrzucało się do garnka mięso i na nim gotowało zupę. A to kapuśniak, a to krupnik, a to zalewajkę, a to kluski z ziemniakami. Do niektórych zup Stefania dodatkowo gotowała ziemniaki na sypko. Po posiłku każdy szedł w swoją stronę, do obowiązków. A Nina – do sadu za drogą, do którego wchodziło się obok potężnego dębu. Czego tam nie było: drzewa rzucały cienie, małe świetliste polanki, jak plamki na wielkim zwierzu, dojrzewające węgierki, jeszcze w białym puszkach, dziewicze, nietknięte. Maliniak z owocami na wysokości wzroku długo trzymał w objęciach. Dalej były leszczyny, jej jesienne przytulisko. W ich cieniu gadała ze sobą o wszystkim nie mając żadnych świadków oprócz otulonych zieloną koronką orzechów. I te promienie między listkami jak liny, po których można piąć się w górę.

Z sadu, przez drewnianą, niską bramkę zamykaną na skobel, Nina wychodziła na pola. Tutaj warzywniak przetykany głowami kopru i zagon z makówkami rozbudzały wyobraźnię. Z kopru, natki i nagietków – bukiety. Z makówek – szaroniebieski smakołyk i zastawa stołowa: kubeczki, dzbanuszki, rondelki, garnuszki. Z groszku i fasoli – korale. I tak aż do południa, do czasu dojenia krów. Dziewczynka czekała na ciepłe mleko przecezione przez kawałek lnianego płótna własnego wyrobu. Tego smaku i zapachu się nie zapomina, tak, jak nie zapomina się własnego języka w gębie. Ten smak i zapach to jej język.

Z babcią Stefanią Nina piekła chleb. Była zaciekawiona, dlaczego kawałek ciasta musi zostać w dzieży. To zakwas na następne chleby – odpowiadała babcia i lepila Teklę – lalkę, której palcem wyznaczała oczy, nos, usta. Uśmiechnięte lub smutne. Może w zależności od swojego samopoczucia? Piekła tę dziewczynkę razem z wyrosniętymi bochnami, zupełnie jak w bajce. W rękach wnuczki Tekla ożywała. Miała domek i jej miłość. Czy potrzeba więcej? Czasem babcia nabijała na patyk wydrążone ziemniaki wypełnione przyprawionym mięsem i wkładała razem z chlebem i drożdżowym ciastem do rozżarzonego pieca. Co to był za cymes! I ten ziemniak, i to ciasto.

W południe żar lał się z nieba i żeńcy schodzili z pola na sjęstę. Zamykano okiennice, pito mleko, zagryzano świeżym chlebem i ucinano drzemkę. A dzieci zbierały się nad sąsiedzką sadzawką albo biegały pod domy rodzin mieszkających na koloniach wsi. Pod jednym z nich stało urządzenie do tarcia lnu. Takie drewniane korytko na nóżkach, na które kładło się lodygi rośliny w poprzek, a drugą drewnianą częścią umieszczoną na zawiasach

¹ Pismo Święte Nowego Testamentu, PAX, Warszawa, 1957, EwM IV 26-29

cd. ze str. 25.

wciskało się je we wspomniane korytko, co powodowało kruszenie zdrewniałej części łądy. Leciwały październik. Stefania hodowała len. Nina lubiła w nim brodzić, jak w błękitnej wodzie. Wyobrażała też, że chodzi po niebie. Drobne, pięciopłatkowe niebieskie kwiaty z żółtym środkiem i pięcioma pręcikami, po kilka na łądkach, zgromadzone na dużej przestrzeni, mogły być wszystkim, wszystkim według życzenia dziecka. A przezroczyście żyłki na każdym płatku pojedynczego kwiatu przypominały siateczkę naczyń krwionośnych na skórze. Dziewczynka porównywała z nimi wewnętrzną stronę przedramienia, by przekonać się o słuszności swojej teorii. Po babci Stefani została Ninie utkany przez nią ręcznik z lnu. Z lnu, spośród którego gubiła dziecięcy czas.

Jan

Jan nosił w sobie świat i świt. Nie pasował do Stefanii i jej brata Zygmunta, który pozostawał w ich wspólnym gospodarstwie. Tylko w jednym był podobny. Budził się ze słońcem i z nim się układał, także do snu. Tego rytmu uczył Ninę mimochodem, od dziecka. Lubiła chodzić do niego, kiedy kosił łąki. Około południa nosiła z babcią Stefanią kosz z jedzeniem i kiszoną oskołą, przechowaną w zimnym sklepie², by była chłodna i przyjemnie orzeźwiająca. Dziadek – ubrany w lnianą, białą koszulę – kładł pokosy łąki w regu-

larne pasma. Pachniało. Gorące powietrze wzmacniało zapachy i unosiło pod nieodległy las. Nina syciła się tym zapachem i patrzyła na dziadka jedzącego, pijącego zimny napój, ocierającego pot z czoła, podziwiała jego spokój i elegancję ruchów. Nabył oglądy przez dwadzieścia lat pobytu w Ameryce. Wtedy nie myślała o takich powiązaniach. Nie rozumiała jeszcze jaką naukę niesie obycie w świecie. A dziadek Jan wiedział. Kiedy nadchodziła szara godzina, brał ją na kolana i opowiadał o tym, co widział za wielką wodą. Ale o przebiegu swojej podróży najpierw do Niemiec, a potem do Ameryki nie mówił w szczegółach. Wyjechał po odbyciu trzyletniej służby w carskim wojsku. Wiedział, że dziecko niewiele z tego zrozumie. Widział jednak, jak maleńkie ziarna gorczycy rzucane na podatną glebę pęcznią pytaniami. Jak rośnie w niej ciekawość świata i dojrzewała dusza wędrowna. Opowiadanie dziadka były oczekiwanym rytuałem. Zasysało w inny wymiar czasu.

Po zakończeniu roku szkolnego Nina czekała przed domem, jak nieruchoma czapla na rybę, na nadjeżdżającą furmankę zaprzęzoną w dwa piękne konie. Wrzucała swoje „manatki” i przez ponad dwadzieścia kilometrów gapiła się w niebo i na czubki mijanych drzew. Niezliczone kształty obłoków widzianych wtedy, teraz przepływają przez nią intensywniej, a drzewa zapuszczają korzenie. I ludzie, symbole jej wolności: mała Danusia, która leżała jak trup na dnie sadzawki, Zosia z obrzeży wsi, Inny Zygmunt, Krysztófik i wielu, bardzo wielu, których można wymieniać w dziękczynnej litanii. I jeszcze ta żmija zygzakowata,

która podczas układania siana znalazła się na drabiniastym wozie przypadkowo. Nikt o tym nie wiedział. Ani powożący wozem dziadek Jan, ani ona, mała dziewczynka, usadowiona wysoko na tronie z pachnących traw. Była królową. Jechała i patrzyła na wszystko z góry, wychylając się raz na jeden, raz na drugi brzeg. Nie każdemu było dane takie królowanie.

O tym, kim był Jan, opowiadacz świata w swojej wsi i okolicy, Nina dowiedziała się po jego śmierci od ojca i zapisała: był soltysem, radnym gminnym i członkiem organizacji narodowców. Jego syn Leon działał w Armii Krajowej pod pseudonimem Trzmiel. Został aresztowany przez Niemców podczas obławy w rodzinnej wsi. Zginął jako osiemnastolatek w niemieckim obozie koncentracyjnym na terenie Austrii.

Po dziadku Janie ma pamiątki. Dwa zdjęcia wykonane w Ameryce. Jedno, portretowe, ze stemplem firmy „Artur”, a drugie w towarzystwie dwóch mężczyzn. Być może jego braci – Władysława i Antoniego, którzy do Ameryki wyemigrowali wcześniej. Jakie są losy amerykańskich kuzynów Niny? Czy wiedzą o swoich polskich korzeniach wywodzących się z leśnika Jana, jej pradziadka?

Czesław

Czesław wydarł córkę ze szponów śmierci.

W czasie drugiej wojny światowej Niemcy zarekwirowali dom Czesława. Rodzinę wypędzili na tułaczkę. Od kuzynów do kuzynów. Kiedy wrócili na swoje, domu już nie było. Umieścił rodzinę w chlewku, który spłonął podczas pieczenia chleba. Zajęła się też stodoła

² Sklep – piwnica na zewnątrz budynku mieszkalnego z kolebkowym kamiennym stropem przykrytym warstwami ubitej ziemi i słomy, gdzie przechowywano produkty spożywcze, warzywa i inne płody rolne. Dawniej taka piwnica zastępowała dzisiejsze lodówki.

i wszystko poszło z dymem. Uratowano zwierzęta. Tylko indyk zwęglił się i jak totem sterczał na stalowym pręcie. Jak czarna główka gigantycznej zapalki.

Terenia zachorowała na tyfus brzuszny, kiedy po pożarze chlewka zamieszkali w pobliskim bunkrze. Była u kresu życia, gdy w wejściu stanął sowiecki żołnierz. Widok umierającego dziecka musiał poruszyć jego serce. Widział nędzę i, poza umierającą dziewczynką, jeszcze kilkoro małych dzieci. Tutaj nie było co rabować. Nie było jedzenia. Ostatnią kozę zabrali Niemcy. Żołnierz zapytał: „Ej, hosiain, pacziem u tybie nie otwiesti riebionka w bolnicu?”³. Bezradny ojciec rozłożył ręce i powiedział: „Zdies niet balnicy ili wracza”⁴. Żołnierz opowiedział dziadkowi Niny o szpitalu polowym w Lipsku, daleko, bardzo daleko, jak na przejazd saniami z Netty. Narysował też drogę na skrót, przez zamarzniete bagna Biebrzy. Dziadek zawinął Terenię w pierzyny, położył na saniach i pojechał. Droga nie była ani łatwa ani bezpieczna. Dlatego przemierzał ostępy pod osłoną nocy. Zapadał się w zmarzlinach, wydobywał z dziur płozy sań, modlił się i siarczyście przeklinał. Po wielu trudach dojechał do szpitala polowego. Umierającą, wychudzoną dziewczynką zaopiekował się lekarz Bolesław Skokowski. Trudno dociec, ile uporu i determinacji potrzebował, by przywrócić Terenię światu. Ona, charakterna, jak mówiono w rodzinie, po ojcu, kiedy poczuła się trochę lepiej, uwiodła swoim litościwo-proszącym wzrokiem kucharki. Uległy. Najadła się do syta. Dostała nawrotu choroby. Straciła włosy, jeszcze bardziej wychudła, ale w końcu wygrała z dolegliwością i wiosną ojciec zabrał „skórę i kości” do domu.

Czesław był mocny jak tur, pracował jak wół i od dzieci, które płodził

prawie co roku, wymagał tego samego. Nadany mu przez sąsiadów przydomek „Caban”⁵ mówi sam za siebie. Ale Terenię, najstarszą i potrzebną do pracy, ratował jak mógł. Czy robił to z miłości, czy z obawy przed utratą rąk do pracy? Niepoznane zostaną jego myśli. Potem pomagał córce, o ironio!, obalać męski porządek świata, gdy uciekała ze wsi do miasta, by układać życie po swojemu. Oczy zapadnięte w starą twarz patrzyły na Terenię z miłością. Była mu najbliższą z dzieci. Jak on, wyrosła na mocną, pracowitą i zaradną życiowo kobietę. I jak on wymagającą w stosunku do swoich dzieci.

Pewnie nie byłoby wiadomo, kto leczył Terenię w szpitalu polowym w Lipsku, gdyby nie pewna książka. W 2008 roku otrzymała ją od Niny. Podczas przeglądania na stronie sto trzydziestej drugiej natknęła się na wspomnienia Bolesława Skokowskiego. Na widok jego nazwiska Terenia bez wahania powiedziała: „To jest lekarz, który uratował mi życie”. Wtedy zaczęła się rodzic opowieść. Terenia siedziała z Niną pod kwitnącą lipą i przy akompaniamencie pszczelego gadania przywoływała tamte obrazy.

Terenia

Terenia nie była czułościowa ani czuła. Po ojcu Czesławie odziedziczyła siłę i zaradność, a po matce Weronice poczucie estetyki i elegancję. Twardo stąpała po ziemi i umiała postawić na

swoim. Kiedy po ślubie zamieszkała w domu rodzinnym męża, też Czesława (Czeška) szybko zdobyła względy teścia Jana. Gorzej sprawy się miały w relacjach z teściową Stefanią. Dla dwóch gospodyń nie było tam miejsca. Teściowa nie oddała przysłowiowej warząchwii synowej. Wtedy Terenia postanowiła porzucić wieś i zamieszkać w mieście. Było jej źle do tego stopnia, że chciała się utopić. Uciekała pieszo z czteroletnią Niną i jej bratem. Miała przed sobą ponad dwadzieścia kilometrów do domu rodziców. Zdesperowaną uciekinierkę przechwycił brat, który w miasteczku jeździł taksówką z numerem jeden.

Z pomocą ojca Terenia urządziła się w pokoiku na poddaszu. Po odbyciu praktycznej nauki zawodu dziewiarskiego rozpoczęła własną działalność. Tajniki kroju i szycia miała w małym palcu po szkole krawieckiej, której, niestety, nie ukończyła z bardzo prozaicznego powodu. Niepokorną dziewczynę zabrał ze szkoły ojciec, który wpadł w gniew, gdy ta pieniądze ze sprzedaży płodów rolnych w Elku wpłaciła bez jego wiedzy na wycieczkę do Wrocławia, a innym razem wydała na ondulację u elckiego fryzjera. Tak się skończyła edukacja zawodowa Tereni.

Czesław kupił córce maszynę dziewiarską szwajcarskiej firmy „Busch”, nowoczesną i drogą. Terenia rozpoczęła karierę modystki. A że miała wyobraźnię, talent i zapał, szybko pozyskała wiele klientek. Ubierała śmietankę intelektualną miasteczka: lekarki, sędziny, nauczycielki oraz ich mężów i dzieci.

cd. na str. 28.

³ Ej, gospodarzu, dlaczego nie odwieziesz dziecka do szpitala?

⁴ Tutaj nie ma szpitala ani lekarza.

⁵ Przezwiśko człowieka ciężkiego, dużego, twardego.

cd. ze str. 27.

Gdyby urodziła się w XXI wieku może byłaby stylistką, projektantką, dyktatorką mody? Może wypłynęłaby na wielkie wody świata, który wciągał ją w swoje trzewia? Ninie zawsze mówiła: „Jedź w świat, dokąd tylko możesz. Nie zastanawiaj się nad pieniędzmi. Znajdą się kiedy będzie trzeba. Tylko chciej”.

Na poddaszu Terenia urządziła piąte urodziny Niny. Przyszły dzieci z sąsiedztwa: Bogusia, Jagoda, Przemek, Staś, Januszek, Wiesia, Witek i jej dwuletni brat Jurek. Nina pamięta, że w prezencie od Stasia dostała używane kredki, a właściwie ogryzki kredek. Tak bardzo się nimi cieszyła! Innych prezentów nie pamięta. Być może po prostu ich nie dostała. Ale był tort! I świeczki! I goście.

Wiosną tego samego roku Terenia zabrała Ninę do Warszawy. Przy okazji zakupu części do maszyny dziewiarskiej i kolejnego szkolenia mała zobaczyła bazar Różyckiego. Do tej pory ma w uszach nawoływania kupców i barwne stoiska z różnościami. Potem ze „złotymi talarami” w rączkach zjeżdżała pierwszymi ruchomymi schodami przy trasie W-Z, jednej z największych atrakcji turystycznych Warszawy tamtych czasów. Wędrowną dusza Niny rosła.

Do Tereni wrócił Czesiek. Tylko w znany mu sposób odciął pępowinę od Stefanii i przyjechał do miasta. Pracował w różnych miejscach, ale najdłużej z Teresą (tak ją nazywał) w zakładzie dziewiarskim. Był mężczyzną potrzebnym do pracy przy ciężkiej maszynie stojącej na żeliwnych, stabilnych nogach. A jego nogi pewne nieraz zadrzały. To Terenia ciągnęła życie do przodu jak lokomotywa wagony. Chciała zapewnić dobrobyt dzieciom i realizować swoje marzenia

o podróżach. Czesław w milczeniu wykonywał zadania dziewiarza zlecone przez żonę – szefową. Czy wiedział, że Terenia kochała innego? Czy wiedział, że za niego poszła za mąż na przekór Stasiowi Doliwie?

Czesiek

Czesiek był ukochanym synem Stefanii. Czteroletnią podstawówkę ukończył w pobliskiej Hucie, a za Niemca uczestniczył w tajnym nauczaniu w Janówku koło Sztabina. W lipcu 1945 roku, gdy kosił łąkę, zaarrestowali go Rusczy i wraz z innymi zamknęli w cementowej suszarni tytoniu w Kamieniu. Stefania rwała włosy z głowy, bo wcześniej straciła osiemnastoletniego syna Leona, który przepadł bez wieści jako żołnierz Armii Krajowej. Kiedy dowiedziała się o sowieckiej obławie i zlokalizowała miejsce przetrzymywania pojmanych, spakowała do lnianego worka kawał słoniny i litrowe butle samogonu i ruszyła do sztabu w Kamieniu. Wiedziała, że młodzi, sowieccy wartownicy oddadzą wszystko za taką łapówkę. Do domu wróciła z synem. W podobny sposób inne matki wydarły z sowieckich szponów swoich synów, młodych, Bogu ducha winnych chłopaków. Pozostali przepadli w obławie augustowskiej jak kamienie w wodzie i po dziś dzień nieznanne są ich losy ani miejsce grobu. Ojcu Niny się poszczęściło. Ale to nie koniec gehenny. Jeszcze za czasów stalinowskiego terroru, po ślubie w 1951 roku z Terenią, został zesłany jako represjonowany politycznie żołnierz-górnik do pracy w chorzowskiej kopalni. Pracował na przodku w szybie „Prezy-

dent” do kwietnia 1954 roku, a potem na robotach przymusowych przy budowie stacji kolejowej Warszawa-Włochy. Terenia jeździła na czarny Śląsk w odwiedziny do męża. Z tego oddalenia Nina przez cztery lata nie mogła się urodzić. Kim byłaby urodzona cztery lata wcześniej?

Ojciec nie mówił jej o swoim losie. Trzymał tę opowieść w sobie, do czasu gdy był pewien, że nie zaszkodzi rodzinie. Awans wojskowy na stopień starszego sierżanta i parę groszy do emerytury dostał w wolnej Polsce jako represjonowany politycznie żołnierz-górnik. Został odznaczony Krzyżem Związku Żołnierzy Represjonowanych, Krzyżem Więźnia Politycznego, Orderem Męczeństwa i Zwycięstwa dla Represjonowanych w latach 1939-1989 za walkę o Polskę Wolną i Sprawiedliwą.

Czesiek, w przeciwieństwie do Tereni, nie lubił dalekich wyjazdów. Małą Ninę zabierał ze sobą w podróż do rodzinnej wsi oddalonej o dwadzieścia kilometrów od miasta. Woził ją na ramie roweru owiniętej poduszką, a jak była starsza na bagażniku. Nina lubiła te wyprawy z postojami na odpoczynek, aż do czasu, gdy włożyła nóżkę w szprychy. A było to gdzieś w pobliżu gospody w Białobrzegach. Pamięta zapach dymu i chłopów popijających wódkę, ich zainteresowanie wydarzeniem i pomoc. Potem jeździła z ojcem motocyklem. Najczęściej na grzyby i do babci Stefanii. Gdy dzień przecierał oczy, a miasto jeszcze spało Nina wskakiwała na siedzenie za plecy ojca, przytulona obejmowała go i czuła się bezpiecznie. Oglądała opadające mgły i ukośnie padające promienie. Brzask poranka o rumianym powietrzu. Migwały obrazy, ciepłe i wilgotne powietrze grało na wiklinie koszy i poruszało delikatne włoski na rękach

dziewczynki. Pachniały drzewa otulone mgłą.

Ojciec wprowadzał Ninę w tajemnicę lasu. Znał go, jak własną kieszeń, a ten znał jego kroki i akceptował obecność życzliwego człowieka. Tą wzajemną relacją ojca i lasu Nina nasiąkała niczym bibuła atramentem. Słuchała opowieści o symbiozie drzew i grzybów. Pod brzożami rosły brzożowiaki i czerwogłówce, pod dębami boro-

wiki o bordowych kapeluszach, pod świerkami prawdziwki z brązowymi głowami. Ojciec nigdy nie patrzył pod nogi, tylko daleko przed siebie. Kiedy na horyzoncie zobaczył kapelusz podpowiadał córce, jaki ma obrać kierunek marszu. Przy ojcu nauczyła się cieszyć chwilą. Głośno wołała: „Tato, tato – mam!”. I biegła w stronę ojca po mięsistym, zielonym mchu, widłaku, pomiędzy paprociami z grzybem w wyciągniętej dłoni. Pamięta

jego uśmiech spod wąsa, gdy chwaliła się znaleziskiem.

Do ostatnich dni życia ojciec Niny lubił spacerować. Nie czekał na towarzystwo. Terenia już nie chodziła z powodu chorych stawów biodrowych, dzieci miały swoje dzieci i żyły własnym rytmem. A on spacerował. Nina odziedziczyła po nim kolor oczu, włosów i nieodpartą potrzebę bycia w przyjaźni z naturą.

JANINA OSEWSKA

– poetka, fotograf, pedagog, animatorka życia literackiego, regionoznawca. Urodziła się i mieszka w Augustowie.

Opublikowała tomiki: *W stronę ciszy* (2003), *Do czasu przyszłego* (2007), *Tamto* (2015) oraz *Niebieska chwila* (2017). Jej wiersze były tłumaczone na język: angielski, niemiecki, ukraiński, litewski, czeski, mongolski. Publikowała m. in. w „Toposie”, „Borussii”, „Wiadomościach Literackich”, „Azurii” (Australia), tygodniku kulturalnym „Šiaurės Atėnai” (Litwa), tygodniku „Literatūra ir menas” (Litwa), piśmie internetowym „STOS” (Ukraina), „Dzienniku Polonii w Kanadzie” (Kanada), w „Poems of the World” (USA), „World Poetry 2017” (Mongolia) oraz w antologiach i almanachach w Polsce i za granicą.

Była laureatką międzynarodowego kon-

kursu poezji w USA (2004, 2006) oraz finalistką Stokestown International Poetry Prize w Irlandii (2015). Jej tom *Niebieska chwila* był nominowany do Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego ORFEUSZ w kategorii ORFEUSZ MAZURSKI.

Wydała autorski album fotografii „Okruchy” (2011), który otrzymał nominację do tytułu „Najpiękniejsza książka roku 2011” w 52. Konkursie Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek oraz do Athens Photo Festival (2015). Uczestniczyła w zbiorowych wystawach fotografii i miała ponad 20 wystaw indywidualnych.

Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Stowarzyszenia Academia Europaea Sarbieviana.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

